

Cena 400.000 Mkp.

ANTONI WAŚKOWSKI.

CO ROK...

Co rok w polu schną roztopy,
co rok sady kwitną –
dusza widzi się błękitną
jako nieba stropy...

Co rok łan się chyli złoty
i świat słońcem gore,
chłopy rwą się w pole skore
do żniw i omłoty...

Szczęście światem się przewala
jak zawrotne koło –
piorun czyha nad stodołą,
burza idzie zdala...

I złe wodzi wkrąg oczyma,
lecą liście w sadzie...
po ugorach śmierć się kładzie,
śmierć – bieluchna zima..

I znów oschną z pól roztopy
i sady zakwitną,
dusza ujrzy się błękitną
jako nieba stropy...

I powrócą dnie pozłotne,
wiosna wróci zdala — —
Szczęście w życiu się przewala
jak koło zawrotne..



Pierwszy polski parowóz: Poświęcenie pierwszego parowozu fabr. „Parowóz“ w Warszawie w dniu 23/XII 1923 r. w obecności p. Prez. Wojciechowskiego, przedstawicieli Sejmu i Senatu oraz Ministrów Fot. Sarjusz Wolski — Warszawa.

Na progu Roku Nowego.

Na progu Roku Nowego, który zamyka pierwsze pięciolecie bytu naszej odrodzonej Rzeczypospolitej — jedno życzenie ciśnie się wszystkim na usta, życzenie, które — sądzimy, że wszyscy Czytelnicy z nami podzielą zgodnie — bodaj ten rok nowy był chociaż trochę lepszy od minionego!

Pięć lat — to nie wiele. Ale pięć pierwszych lat bytu — to jest wiele, tak samo jak pięć dalszych lat długiej niedoli. Bo tylko szczęśliwych chwil się nie liczy. A lata ubiegłe były jednak okresem ciężkich dla nas doświadczeń.

Przeszliśmy je. Przetrwaliśmy. W walce o obronę bytu państwa odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Ale niedola życia codziennego, nędza i wyczerpanie olbrzymich mas naszego społeczeństwa tak się wzmógł ostatnio, że zaciemniają i zasłaniają w naszej świadomości to wszystko, co było dobrego. Zapominamy i o zwycięstwach i o pięknych i o chlubnych zaiste kartach tych lat minionych — pod oślepiającem brzemieniem codziennych trosk i w wirze rozszalałych namiętności.

Otóż to jest największe niebezpieczeństwo. To też na progu nowego roku powinniśmy w sobie przedewszystkiem jednego szukać uczucia, by je wzmódz i skrzepić: wolę wytrwania. Wytrwajmy. Tak jak przetrwaliśmy wojnę i bolszewicką inwazję — by je przezwyciężyć ostatecznie, tak przetrwajmy i przezwyciężmy nędzę i brzemię codziennych trosk. Bo może niedługo i one miną.

Na progu Nowego Roku mamy już objaw radosny przycichnięcia burzy nienawiści, mamy pierwszy raz rząd taki, przeciw któremu żadna z partji nie występuje z p aną na ustach. Przycichła zaciekłość i nienawiść — to pierwszy dobry znak. Jeśli jeszcze ten rząd nowy uzyska pełnomocnictwa, których pragnie i wkroczy na drogę gospodarczej naprawy Rzeczypospolitej — to może istotnie Rok Nowy przyniesie nam ulgę i da spokój stroskanym.

Miejmy tę nadzieję. Możemy i winniśmy się na nią zdobyć skoro Rok Nowy przychodzi do nas w promieniach gwiazdy — pokoju wewnętrznego, gwiazdy ludzi dobrej woli.

Andrzej Świętosławski.



Nowy gabinet Dra Grabskiego przed Sejmem: Premjer Grabski, który zażądał od Sejmu specjalnych pełnomocnictw dla Prezydenta Rzeczypospolitej. Fot.: Sarjusz Wolski, (Warszawa



Nowy gabinet Dra Grabskiego przed Sejmem:
1) Kierownik Min. Sp. zagr. dr. K. Bertoni. 2) Min. Ośw. Publ. dr. Br. Miklaszewski 3) Minister Spr. wewn. Wł. Sołtan 4) Minister Przem. i Handlu inż. J. Kiedroń
Fot.: Sarjusz Wolski, (Warszawa).



Ś. p. Eugeniusz Korwin Małaczewski

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI.

„Wojenko, wojenko".

Świat cały śpi spokojnie
I wcale o tem nie wie,
Że nie jest tak na wojnie
Jak jest w żołnierskim śpiewie.

Wojenka wielka Pani
Żołnierzy swych nie pieści,
Gdy kulą w pierś nie rani
To zgubi ich bez wieści.

Wojenka Cudna Pani
Tak życie nam umiła,
Że krew swą mamy dla Niej
A piosnkę — dla cywila.

A piosnka brzmi tak ładnie
A tak się rzadko skarży
Choć śpiewak w polu padnie
Choć może zginie w szarży.

I różą na koszuli
Szkarłatną, krew zakwitnie
I ziemia go utuli
Gdy zemrze, jak żył bitnie.

Lecz my tej wielkiej Pani,
Co leje krew obficie
Jesteśmy ślubowani
Na śmierć, na twarde życie.

Świat zasię śpi spokojnie
I wcale o tem nie wie,
Że nie jest tak na wojnie
Jak jest w żołnierskim śpiewie.

EUGENIUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI.

List.

Z koresondencji pozostałej po zgasłym przedwcześnie młodym a wielkiego talentu poecie — dajemy dziś w numerze noworocznym Czytelnikom naszym — list do przyjaciela, pisany na dni kilka przed zgonem. W chaosie i zamęcie dzisiejszego życia, w rozprzężeniu pojęć etycznych, w wybujaniu najniższych namiętności, w zdziczeniu, brutalizmie i podstępności dzisiejszych stosunków międzyludzkich — dajemy dziś na progu nowego roku ten „List" jako głos duszy pięknej i wzniosłej, dający świadectwo prawdzie, iż myśl głęboka i uczucie gorące przebija się przez ten obłędny wir dnia dzisiejszego ku Idei i Prawdom Wiecznym.

1/3. 1922, Zakopane.

Mój drogi Stefku!

Wybacz, że Twój list tyle czasu czekał na odpowiedź. Wielu z moich kolegów na tej jedynie podstawie zerwało ze mną stosunki, twierdząc, że od czasu wydrukowania mej pierwszej książki, w taką obiłem się pychę, że starych znajomych nie chcę poznawać, ani korespondować z nimi.

Tymczasem cały sekret leży w psychopatologicznej wprost niechęci mojej do pisania listów. Ciężko mi pisać list, bo albo trzeba dużo kłamać, kiedy się do mniej zaprzyjaźnionej osoby pisze, albo trzeba list świetnie napisać jak poemat, jak dobrą rozprawę, gdy się do przyjaciela pisze, a to nie zawsze łatwo bywa.

Przedewszystkiem pozwól, że z całego serca wyrażę tą radość moją wielką, że już pomału przychodzisz do zdrowia. Dr. Z., który temi dniami był tu, twierdził, że z Twoim zdrowiem, to już historya niedługiego czasu a sprawa pewna. Będziesz chodzić jak baletnica. Daj Ci Boże, kochany Stefku tego jaknajprędzej!

Tem szczersze i skuteczniejsze to życzenie, że pochodzi od bliźniego, który naprawdę jest chory i chociaż chodzi, ale tak jest we wszystkiem skrępowany, że powinieneś go, Stefku, trochę pożałować.

Bardzo mnie wzruszyło, że pamiętasz nasze rozmowy i tak je sobie cenisz. Dowód to dla mnie, że to co mówiłem Ci (a mówiłem nie z siebie, nie z własnej umiejętności, nie z osobistej pychy, lecz z tego co światu od 2000 lat dane jest jak powietrze i słońce i woda, dla wszystkich bez uwagi na osoby) — jest prawdą i ma prawdę w sobie, której nigdzie indziej nie znajdziesz.

Drogi Stefku, obaj niemocni jesteśmy. Mówiąc między nami, ja w bardzo szybkim tempie zdrowie tracę. Już kilkakrotnie krwi ze mnie dosyć się wylało. Lecz to wszystko nie może być na śmierć, a na tem cudniejszy żywot. Wierzę, że Bóg mocen jest wytrącić Ci kule z pod pach, a mnie przywrócić płuca zdrowsze i mocniejsze niż kiedykolwiek miałem. Tylko nie umiemy prosić Go o to. Albo godni nie jesteśmy, aby modlitwa nasza przyjętą została.

Wciąż czytam listy św. Pawła.

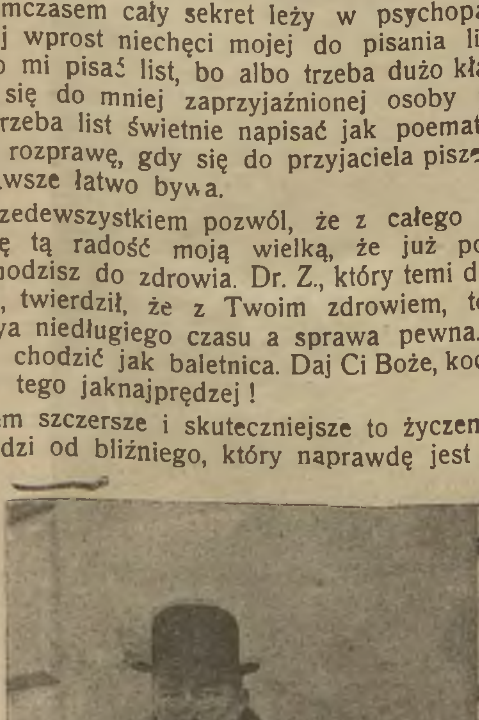
To był największy, najpłomienniejszy chrześcijanin, jakiego znam. On tak powiada o życiu i śmierci: „Żyć mi jest Chrystus, a umrzeć — zysk!". Gdzieś znowu indziej św. Augustyn (zdaje mi się, że on ale niepewne) powiada: „Od czasu Zmartwychwstania Zbawiciela miłosierdzie przewyższyło na ziemi sprawiedliwość, miłosierdzie mocniejsze jest od Boga samego". Jaka religia wyrzekła — coś podobnie wzniosłego, coś podobnie pięknego, pięknego aż do łez wzruszenia?...

Stefku kochany, pomyśl sobie jacyśmy szczęśliwi. Szczęśliwi niezasłużenie, gdyż największe zasługi człowieka są tylko jego zwyczajnym obowiązkiem.

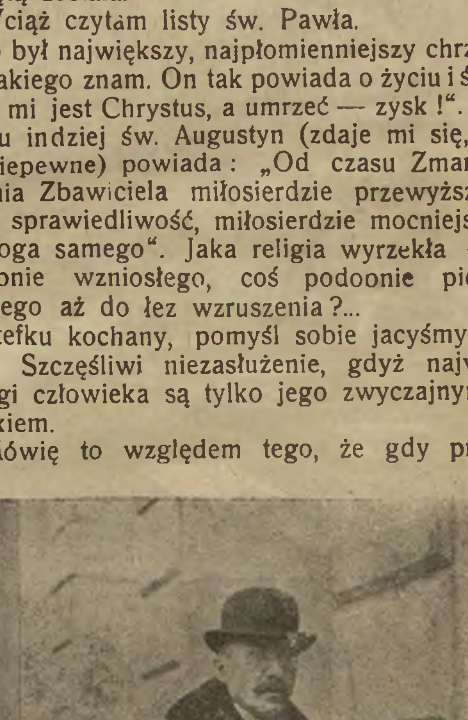
Mówię to względem tego, że gdy przyjdzie



Ś. p. Włodzimierz Tetmajer z synami: (z prawej) ś. p. Kazimierzem, poległym w 1920 r. i (z lewej) Tadeuszem, obecnie podchorążym jazdy.







Nowy gabinet Dra Grabskiego:

5) Minister kolei inż. K. Tyszka

6) Minister Sprawiedliwości mec. Włodzimierz Wyganowski 8) Minister Reform Rolnych prof. (Z Ludkiewicz.

7) Minister Robót Publ. inż M. Rybczyński

Fot. Sarjusz Wolski — Warszawa.

czas na nas, pomrzemy, mamy tę możność błogosławioną. iż dokonamy żywota w naszej wolnej Ojczyźnie i naszym Kościele Św. Katolickim, abyśmy mogli zmartwychwstać w Bogu Miłosiernym.

Piszę Ci to tonem kazania, a bez tych argumentów i komentarzy, którebym roztoczył przed Tobą, gdybym mówił a nie pisał. Ale Ty się nie śmiej ze mnie i ufaj, jeżeli nie w to co piszę, to uwierz we wiarę moją, w to co tu piszę.

Zaleciłbym Ci, jeśli nie znasz, do przeczytania psalm Dawidowy 50 u Żydów 51. Jest to coś najwznioślejszego ze wszystkich modlitw (po za Modlitwą Pańską), jakie tylko wyobrazić można. Zajrzyj przy sposobności ale staraj się by było w tłómaczeniu Wujka.

Ściskam Cię w imię naszej długiej już dość przyjaźni i całuję pocałowaniem braterskiem. Pisz, odpiszę Ci zawsze, chociaż czasem się i opóźnię.

Twój
Eugeniusz Małaczewski,

†

Ś. p. Włodzimierz Tetmajer

U progu Roku Nowego żałobną wieścią dzielić się musimy z Czytelnikami.

Włodzimierz Tetmajer nie żyje!

Przed tygodniem zaledwie widzieliśmy go wśród siebie, osłabionego wprawdzie przez niemoc, ale z jakimże ogniem, z jakim płomiennym entuzjazmem mówiącego o sprawie, która Go ponad wszystko w życiu obchodziła — o przyszłość naszej Ojczyzny. Widzieliśmy Go przy wytężonej pracy twórczej nad nowemi dziełami malarskiemi, w których pragnął bujność barwy i kształtu, monumentalność formy spoić w jedno z potęgą myślowych, idejowych, symbolicznych koncepcji.

Pracował nad wielkim tryptykiem „Termopile polskie", które miały ujmować wizję walki dwuch światów duchowych — obłąkanego, dzikiego wschodu — i Polski, tej Polski jaką artysta widzieć pragnął, Polski Leonidasów, Polski — Termopilów Kultury.

Zmarł nie dokonawszy wielu. wielu swych zamierzeń. Zmarł w pełni sił duchowych, bo choć ciało już słabło sterane, duch w nim zawsze aż do końca płonął silną i głęboką wiarą w Ideję, miłością tej Ideji i nadzieją niezłomną w jej zwycięstwo. Ta wiara i niezmożona siła ducha biła także i ze słów ostatniego artykułu przezeń przed śmiercią napisanego dla nas do wigilijnego numeru „Nowości". Było w tym artykule owe — tak rzadkie dziś wśród ludzi oswojonych z błotem codziennem — święte oburzenie na nikczemność, egoizm, prywatę i partyjnictwo panoszące się wokół, i była wiara, że przecież ten okres upadku moralnego minąć musi, że przyjdzie, — że już idzie okres, w którym „Prawda, uczciwość i poświęcenie" zapanują znów i zatryumfują nad światem. Owa wiara w bliskie pojawienie się gwiazdy, która oświeci i widocznemi uczyni trzy wielkie cele: „*Prawdę, Uczciwość i Poświęcenie*" — jest wielkim testamentem Człowieka, który życie swe całe tym trzem celom służył niezmiennie. To testament artysty-malarza, poety i polityka, który przedziwnie umiał łączyć ze sobą pracę w tych trzech dziedzinach, wiążąc je ze sobą zawsze żywym i potężnym tchnieniem entuzjazmu, i który zawsze był człowiekiem uczciwej myśli i płonącego serca.

Cześć Jego pamięci!

Rząd a Sejm.

Nowy rząd p. Grabskiego — Votum zaufania sejmu — Specyalne pełnomocnictwo dla Prezydenta — Obrady sejmowej komisji prawniczej — Widoki na najbliższa przyszłość.

Rząd p. Władysława Grabskiego — ogólnie nazywany rządem zaufania p. prezydenta Wojciechowskiego i rzeczywiście złożony przeważnie z zaufanych jego ludzi — przedstawił się przed świętami sejmowi i uzyskał większość, a to w ten sposób, że za gabinetem głosowała cała prawica, wstrzymała się od głosowania lewica, a opozycyjne stanowisko zajęły narazie tylko mniejszości narodowe z wyjątkiem małoruskich chliborobów.

Jest to więc zupełnie wyraźny narazie „Burgfrieden" — polskie partje o ile gabinetu nie popierają to zarezerwowały sobie możność zajęcia przychylnego stanowiska. Wszyscy czekają czynów — pierwszych kroków w sprawie sanacji skarbu. Nastąpić one mają po otrzymaniu od sejmu „specjalnych pełnomocnictw", których zażądał nowy premjer dla Prezydenta Rzpltej.

Te specjalue pełnomocnictwa dla sanacji naszego skarbu — o ile takowe zostaną przez sejm udzielone — zadecydują o losie rządu a zarazem o naszej przyszłości. Czy zwycięży zdrowy rozsądek, który nakazuje bezwzględnie należyte skupienie pełni władzy w ręku kilku ludzi z dobrym ministrem finansów na czele — czy też będziemy dalej sejmikować i brnąć w przepaść i zwycięzą hasła tej czy owej partji — to pokaże najbliższa już przyszłość. Trudności choćby formalne tylko są duże, mści się na nas dotychczasowa nasza przeszłość, może nasza Konstytucja zbyt teoretycznie pojęta.

Narazie z inicjatywy Rady Ministrów obraduje z udziałem najwybitniejszych profesorów prawa sejmowa komisja prawnicza, by rozpatrzeć owe pełnomocnictwa i dostosować je do wydanych ustaw i konstytucji. — Nie wiadomo jeszcze na kogo sejm przeleje te wyjątkowe prawa czy na „Radę Naprawy Skarbu" — według projektu Krakowskiegn Towarzystwa Ekonomicznego — czy też na Prezydenta Rzpltej — według żądań p. premjera.

Z najwyższem napięciem i niecierpliwością oczekuje całe społeczeństwo jasnych i szybkich decyzji suwerennego sejmu, któreby nareszcie dały rządowi możność realnej, twórczej pracy. Nazwisko zaś p. Władysława Grabskiego — człowieka o dużej energji a bezwzględnie czystych rękach — powinno być rękojmią, że nadzieje społeczeństwa tym razem zostaną spełnione — choć coprawdą nazwiska nowych ministrów prócz samego premjera i gen. Sosnkowskiego są niestety zupełnie nowe, nieznane dotychczas szerszemu ogółowi.



Dymisja gabinetu Witosa: Ostatnie posiedzenie Rady Ministrów.

Fot. W. Fuks

ADAM ROMER.

Co nam przyniósł odchodzący rok?

Odrodzona niepodległa Polska powiększyła czas swego ponownego zaistnienia w rodzinie wolnych narodów o jeden dalszy rok. Bogatym on był w dalsze prace nad odbudową kraju, bogatym w doświadczenia, miłe i przykre. Niestety jednak nie przyniósł on nam w rezultacie tak potrzebnego uspokojenia umysłów, nie dał on jeszcze żadnych widoków na możliwość zgodnej współpracy dla dobra ojczyzny przedstawicieli różnych dzielnic, różnych klas, różnych w czasie wojny światowej orjentacji w stosunku do zwalczających się wzajemnie zaborców.

Wstąpiliśmy w progi tego roku pod wstrząsającem wrażeniem zamordowania ręką fanatyka rodaka Pierwszego Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, mając jako przedstawicielstwo narodowe sejm rozbity na nienawidzące się gorzej od wrogów zewnętrznych stronnictwa, zarzucające sobie nawzajem szerzenie krwawego posiewu bratobójczej walki, ujmujące sprawy kraju tylko pod ciasnym kątem widzenia egoistycznych interesów partyjnych i koteryjnej nieufności do wszystkich innych odłamów myśli politycznej i niezależnych działaczy społecznych. W zamian jednak przynajmniej Opatrzność obdarzyła nas wówczas rządem silnej ręki, stojącym ponad zawiściami partji sejmowych, niezależnym od żadnych partyjnych dyrektyw, zdecydowanym do przeprowadzenia tak upragnionej przez kraj cały naprawy skarbu i administracji. Kilkumiesięczne rządy generała Władysława Sikorskiego wystarczyły by za granicą wysoko podnieść autorytet Rzeczypospolitej, zachwiany zeszłorocznem fatalnem przesileniem państwowem i krwawemi echami wyborów do nowych ciał ustawodawczych, co zostało tak zaszczytnie dla nas przypieczętowane uznaniem granic wschodnich nie tylko od Rosji lecz i od Litwy, jątrzącej wiecznie przeciwko nam w łonie Ligi, by wewnątrz kraju utrwalić pojęcie praworządności i wyższości praw państwowych nad egoistycznem pojmowaniem ich przez obywateli. W rządzie tym rozsądne wprowadzanie w życie mądrych teorji ministra skarbu Władysława Grabskiego, działającego w następstwie ważnych wyników zwołanej z inicjatywy tegoż rządu na początku roku konferencji wszystkich byłych ministrów skarbu, napełniło zagraniczne sfery finansowe i handlowe wiarą i otuchą w uporządkowanie skarbu polskiego, zwłaszcza, że zaczęła się stabilizować marka, zmniejszyły się ogromnie deficyt i długi, odzyskane zostało zaufanie obywateli do państwowych kas oszczędności przez waloryzowanie wkładów, co wszystko złożyło się na bogaty dopływ walut zagranicznych do skarbu umożliwiając skuteczną interwencję w każdorazowym wypadku zagrożenia giełdowego kursu waluty. Równocześnie zostało skutecznie dalej posunięte dzieło pokojowej reorganizacji armji, z uwzględnieniem niedopuszczalności w obecnych warunkach polityki zagranicznej oszczędności w dziale zaopatrywania i uzbrojenia. Ta sama intensywna praca cechowała kolejnictwo, tą chlubę sprawności organizacyjnej i twórczej naszego kraju, oraz inne działy rządowe, jak n. p. opracowanie świetnego projektu reorganizacji administracyjnej, przyspieszenie kodyfikacyi jednolitej i t. d.

Prace te jednak zostały przerwane obaleniem rządu przez sejm. Stało się to w imię zasad parlamentaryzmu, nieuznającego rządów, nieopartych o stałą większość izby, nie wyłonionych z tejże większości. Z chwilą szczęśliwego pogodzenia się przynajmniej części zwaśnionych stronnictw, mającej dostateczną większość w izbie, by brać odpowiedzialność za rządy, rząd pozaparlamentarny bez względu na swoje zasługi, musiał ustąpić zasadom czczonej doktryny. Tak tylko zrozumieć można było „potrzebę“ obalenia rządu Sikorskiego na rzecz rządu „większości polskiej“. Szkoda, że tak wszechwładna u nas demagogja każe to fanatykom nowej większości zarzucać obalonemu rządowi, jakoby opierał się na skrajnej lewicy i mniejszościach narodowych, głosowanie których za rządem powodowane było wyłącznie niechęcią dopuszczenia do rządów „prawicowych“ w znaczeniu sejmowem nie zaś żadnemi tegoż rządu zobowiązaniami w tą stronę. Rząd gen. Sikorskiego ufny w sprawiedliwy sąd społeczeństwa przyjął ten werdykt sejmu w pokorze, czując, że trzeba jednak dać krajowi możność swobodnego doświadczenia „czystych“ rządów parlamentarnych, choć sejm nie odpowiada opinji publicznej, coraz silniej się akcentującej wobec każdego bezstronnego i niezaślepionego partyjnością obserwatora w przeciwstawieniu do warstw przepojonych demagogją i nieuctwem, nieuświadomionych, niedoszłych do tego najskrajniejszego w Europie pojmowania praw obywatelskich, nie pozostającego w żadnym stosunku do poczucia odnośnych obowiązków względem państwa.

Eksperyment ten, jak obecnie wiadomo wszystkim, nie udał się. I to bynajmniej nie z powodu jakiejś świadomej powszechnej obstrukcji, czynionej od początku „rządowi narodowemu“. Bynajmniej; Pomijając parlamentarne dąsy lewicy, naśladującej ślepo wzory niezdrowej i często apaństwowej opozycji czynionej dawniej przez prawicę rządom jej niewygodnym, szerokie sfery zdrowej, umiarkowanej opinji społeczeństwa, pomimo sporej dozy krytycyzmu w stosunku do wybryków „parlamentaryzmu zasadniczego“ w Polsce i zarzutów wobec charakterystycznej formy targu o władze, jaką przybrały narady kontrahentów sławetnego „paktu“ większościowego, bez uprzedzeń czekały wyników działalności nowego rządu, uzależniając swoje stanowisko wyłącznie od wymagań interesów państwa. Niestety wszystkie nadzieje na możność pogodzenia interesów większości sejmowej z interesami czysto państwowemi doznały kolejnego zawodu. Zagranica zareagowała na zmianę rządu niesłychanem obniżeniem kursu marki. Wszystkie wysiłki kolejnych ministrów skarbu gabinetu p. Witosa okazały się daremne, zwłaszcza, że po porzuceniu systemu złotowego i waloryzacji oszczędności ludności na równi z jej podatkami z programu p. Grabskiego zapanowały zupełny brak gotówki i potrzeba masowej inflacji, przy równoczesnym braku widoków na zrównoważenie skarbu podatkami, wobec rozbieżności odnośnych pojęć w łonie samej większości i traktowania tych spraw przez sejm wyłącznie pod kątem widzenia ciasnych porachunków klasowych i egoizmu kieszeniowego.

Na nieszczęście rządu i kraju, pojawił się niby mąż opatrznościowy u steru skarbu p. Kucharski, witany z przyczyn koteryjno-partyjnych w sferach większości jako dyktator rokujący nietylko nadzieje ale prawie pewność uzdrowienia. Z nadzwyczajnym tupetem i większą jeszcze zarozumiałością p. Kucharski, zawdzięczający całą swoją wiedzę skarbową wyłącznie wojennej karjerze handlowej, czyli głównie spekulacyjnej, zabrał się do pracy, obiecując krajowi to pożyczkę zagraniczną niezwłoczną, to wypuszczenie kruszcowej monety w styczniu przez bank misyjny, to zrównoważony budżet z nadwyżką nawet. Rezultaty jego gospodarki jednak były opłakane. Marka, tak mało się wahająca za poprzedniego gabinetu zaczęła spadać z zawrotną szybkością. Minister przez niefortunne występy cieszącego się niestety określoną reputacją p. Hamerlinga i niego dnie rządu polskiego zabiegi kupieckie u podrzędnych działaczy giełdowych zachodu tak się zarżnął w opinji sfer finansowych wielkich mocarstw, że mowy być nie mogło o żadnym dla Polski kredycie. Budżet zaś okazał się złośliwą fikcją na nierealnych oparty walorach. O źródła dochodów zaś dla państwa stronnictwa nie przestały się kłócić nawet w łonie większości, nie obiecując skarbowi nic konkretnego. Daremnie dodano ministrowi kuratele w postaci rady finansowej; prezes jej, b. minister Michalski zniechęcony brakiem podstawowych pojęć skarbowych u nowego ucznia wkrótce wystąpił, p. Kucharski zaś zależnie od uchwał rady i zmiennych nastrojów frakcji większościowych z dnia na dzień zaczął zmieniać swoje projekty, z „dyktatora“ stając się manekinem w ręku potężnych wpływów finansowych zarabiających na nędzy państwa, sfer i grup i zawdzięczając zatrzymanie teki tylko brakowi zgody co do następcy. Najzłośliwszym zaś zrządzeniem losu stała się dla niego i całej większości potrzeba powrotu choć w nieudolnej formie zarzuconego kiedyś z takim tupetem systemu waloryzacji równorzędnej podatków i oszczędności p. Grabskiego. Zniechęcony fatalną działalnością ministra dzielny nasz doradca angielski p. Hilton Young, zaproszony jak wiadomo jeszcze przez rząd poprzedni, opuścił kraj udając się na wybory do Anglji, czyniąc jednak obiecany nowy powrót zależnym od bardziej fortunnego wyboru kanclerza skarbu. A jednak właśnie p. Hilton Young tak wychwala wszędzie kwitnący nasz rozwój gospodarczy i bogactwo w tylu niewykorzystanych jeszcze skarbach przyrody. W dodatku sposób ratowania skarbu przy pomocy krańcowych oszczędności zaczął działać tak destrukcyjnie na siłę obronną państwa i w chwili krytycznej, że minister wojny Szeptycki musiał ustąpić, zachowując jedynie kierownictwo wobec niemożliwości znalezienia w podobnych warunkach następcy.

Katastrofalna polityka finansowa musiała się wiązać z natury rzeczy z szeregiem niepowodzeń rządu w innych dziedzinach. Upadek prestig'u naszego państwa za granicą obok błędów taktycznych p. Seydy stał się główną przyczyną naszych klęsk w sprawie gdańskiej i kłajpedzkiej, tak pewnych jak się zdawało za poprzedniego rządu, prowokacyjnej postawy Czech wobec umizgów p. Seydy, zaprzepaszczenie realizacji związku polsko-bałtyckiego, groźby ponownego wtrącenia się Ligi w sprawę Rusi Czerwonej, wyzywającego stanowiska Moskwy, przegrania Jaworzyny i tylu innych niepowodzeń. To samo da się zastosować i do polityki wewnętrznej, gdzie rząd nie zdołał opanować wywołanego nędzą walutową przesilenia ekonomicznego i chcąc zupełnie z początku apolityczny ruch strejkowy wykorzystać dla poprawienia własnego autorytetu demonstracją silnej ręki doprowadził do opłakanych wypadków krakowskich, tak smutnych dla poczucia godności władzy i honoru oddanego nu pastwę tłuszczy ulicznej bohaterskiego żołnierza polskiego. W dodatku chęć wietrzenia wszędzie spisków politycznych wśród oponentów sejmowych i pozasejmowych zupełnie przyćmiła w oczach rządu groźne wciąż niebezpieczeństwo komunistyczne, z za węgła czyhające na każdą sposobność do prowokacji wyrotowych.

Rosnące i coraz groźniejsze niezadowolenie opinji publicznej spowodowane tak szkodliwymi dla kraju wynikami działalności rządu, którego nie będziemy, broń Boże, pomawiać o brak najlepszej woli, lecz który z drugiej strony nie ma prawa zrzucać odpowiedzialności, że tą, czy inna klęskę na rzekome winy poprzednika, które właśnie —



Święto I. p. Szwol.: Defilada Szwoleżerów ze sztandarem przed p. Prezydentem Wojciechowskim.

Fot. Sarjusz-Wolski Warszawa.

o ile istniały — należało naprawić, a nie pogarszać, musiała z nieubłaganą koniecznością doprowadzić do runięcia całej kompinacji większościowej, na tak sztucznych opartej podstawach i z tak różnorodnych pod względem celów politycznych sklejonej.

Nie mogły tu pomóc żadne konstrukcje, za późno bowiem, by nawet najtęższe siły uratowały od upadku zbankrutowane doszczętnie przedsiębiorstwo. W dodatku przeprowadzanie tej większości przez ustawiczne przesilenia wewnętrzne wymagało tyle szacherstwa politycznego i frymarczenia interesownego, że trudno już było dostrzedz u wielu grup i jednostek kompromisu chociażby pomiędzy chęcią utrzymania rządu większości w interesie państwa a dążeniem do uczynienia zeń wygodnej dla własnej kieszeni, czy „grontu" krowy dojnej.

To się też ujawniło jaskrawo z chwilą rozbicia większości przez grupę p. Bryla. W chwili sytuacji gospodarczej, groźniejszej dla przyszłości państwa prawie od ostatniego najazdu bolszewickiego, panowie ci nie znaleźli innego pozoru do secesji jak nieprzeprowadzenie skrajnej reformy rolnej i niedostateczne uprzywilejowanie podatkowe włościan. Poziom p. Bryla nie pozostawia przecież wątpliwości, że zdawał sobie dokładnie sprawę z miny skarbowej i gospodarczej grożącej państwu w razie realizacji jego zamysłów demagogicznych. O inne zupełnie tu chodzi geszefta.

Przesilenie obecne jest nietylko kryzysem parlamentarnym lecz parlamentaryzmu polskiego wogóle. Półroczne rządy większości sejmowej wykopały przepaść pomiędzy społeczeństwem a ciałami ustawodawczemi. Konstytucja 17 marca 1921 r., epokowe dzieło p. Dubanowicza stała się skrajnie niepopularną w najszerszych warstwach inteligentnych i uświadomionych państwowo naszego narodu. Żaden rząd będący tylko emanacją sejmu i komitetem wykonawczym tej czy innej jego większości nie znajdzie już u nas zaufania i poparcia szerokiego ogółu, dopóki on swojej władzy czerpać nie będzie z samego majestatu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, uosobionego w najwyższej władzy wykonawczej państwa. O tem sejm winien pamiętać i zdecydować się na powierzenie szerokich pełnomocnictw w dziedzinie naprawy Rzeczypospolitej temu wybrańcowi opatrzności, którego w niesłychanie trudnem położeniu obecnym z coraz większą niecierpliwością czekamy.

Rok temu, w podobnej chwili krytycznej, mężem takim okazał się generał Sikorski. Chcemy wierzyć, że i w obecnej chwili nie zwycięży demagogja i małostkowość, nie powtórzą się próby uratowania tak zbankrutowanego w opinji publicznej sejmowładztwa. Taka jest vox populi. A vox populi, jak pokazały kolejno Bułgarja, Włochy, Hiszpanja umie czasem utorować sobie drogę i wbrew własnym parlamentom, gdzie sprzeniewierzają się właściwym sobie zadaniom.

W takiej chwili przełomu i goryczy, na rubieży nadziei i rozpaczy, wśród mgieł nieodgadnionych jeszcze jako świt lepszego jutra czy zmierzch naszego bytu mocarstwowego, oczy nasze z ufnością zwracają ku tej sile, która od samego początku wojny tworząc narodowe wysiłki zbrojne dla wywalczenia niepodległości, to tu, to tam, po całym świecie niemal, w wrogich nieraz okopach i na wręcz przeciwległych szańcach, lecz jednym wspólnym celem opromienione, jednem bohaterstwem legendarnem owiane, potem w chwili załamania się potęgi zaborców wywołując zbrojne czyny dokonane, to w Warszawie, to w Poznaniu, to we Lwowie, to w Wilnie, to w Mińsku, to na Górnym Śląsku, pozostawiając dyplomacji tylko ratyfikację de jure gotowych faktów — doprowadziła wreszcie do zorganizowania się naszej ukochanej armji narodowej, zlanej z tylu składowych części lecz nie uznającej już w przytłaczającej swojej większości ani orjentacji przedawnionych, ani antagonizmów formacyjnych, ani uprzedzeń do tego lub innego wodza, ani przesądów dzielnicowych. Pomimo tylu intryg i wichrzeń jednostek i koterji armja ta spojona tradycjami walk o niepodległość tworzy ten wzór jedności i siły, który całe nasze zwaśnione społeczeństwo powinno naśladować. Ostatnie święto szwoleżerów w Warszawie, kiedy to na bankiecie z udziałem szczytów generalicji stolicy i delegacji wielu innych oddziałów, padli sobie wśród pamiętnych słów braterskiego wzajemnego uznania w objęcia wódz jazdy legionów Belina i wódz ułanów krechowieckich Podhorz, wódz szwoleżerów Dreszcz i jeden z wodzów formacji polskich na Ukrainie Rummel, wódz poznański gen. Konarzewski i bohater z tylu frontów Żeligowski, było wymownym symbolem tego, co dzisiaj stanowi nadzieję na lepsze jutro znękanego narodu.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



Gen. Haller w stolicy filmu: W gościnie u Poli Negr

Gen. Haller w stolicy filmu.

Wódz Armji Ochotniczej, gen. Józef Haller, bawi obecnie w Ameryce jako przedstawiciel wojskowości polskiej — witany owacyjnie wszędzie przez kolonję polską i władze amerykańskie, a szczególnie przez związki b. wojskowych amerykańskich. W podróży swej po Stanach gen. Haller zawitał również i do *Los Angelos,* uroczego miasta Kalifornji. Los Angelos właśnie wraz z miastem-wytwórnią *Hollywood* jest ową stolicą filmu, owem gniazdem filmowem skąd najpotężniejsze filmy wychodzą na cały świat, gdzie roją się tysiące aktorów filmowych z których niejedni wybijają się na światowej sławy gwiazdy ekranu. O Los Angelos i przemyśle filmowym amerykańskim pisaliśmy już niedawno w dodatku do „Nowości" „Ekran" wspomnieć jeszcze należy, że cała okolica Los Angelos zasiana jest, malowniczo położonemi willami, które są własnością sławnych aktorów i „gwiazd" filmowych. Do tych ostatnich należy także i nasza rodaczka *Pola Negri* (hr. Dąmbska) posiadająca dziś już ustaloną sławę w świecie filmu. Gdy gen. Haller, jak wszędzie owacyjnie witany, przybył do stolicy filmu — zdjęć z jego pobytu w tem mieście dokonało towarzystwo filmowe: *Paramount Pictures,* dzięki którego uprzejmości możemy podać czytelnikom fotografje autentyczne z pobytu gen. Hallera w mieście filmu.

Pola Negri, jako rodaczka nasza, w imieniu Los Angeloskich Polaków przyjmowała gen. Hallera na dworcu, a potem w swej willi w Beverly Hills, gdzie generał gościł przez kilka dni pobytu w Los Angelos. Pola Negri wydała również w Biltmore bankiet na cześć gen. Hallera.

Dla publiczności amerykańskiej zdjęcia te stanowić będą specjalną sensację, oddadzą dużą usługę propagandzie imienia polskiego w Ameryce, szczególnie gdy amerykanie ujrzą na filmie naszego „błękitnego generała" wraz ze znaną sobie gwiazdą filmową—polką, otoczoną sławą i bogactwem, a manifestującą swój patrjotyzm polski, za który zresztą już w czasie wojny znosiła prześladowanie od Niemców w Bydgoszczy. *rd.*



„Skrzydlaty zwycięsca" : Na rynku Krakowskim J. Węgrzyn, H. Karpińska i ppłk. Schreider

„Skrzydlaty zwycięzca".

Najnowszy film polski.

W ubiegłej wojnie światowej, której skutki dotąd jeszcze wszyscy boleśnie odczuwamy obok gazów trujących, obok tanków i łodzi podwodnych, obok kolosów wojennych opancerzonych stalowemi szatami, jako pierwszorzędna potęga, potęga przyszłości i straszliwa broń przyszłości wystąpiła *flota powietrzna.*

Wojna, która, musimy to przyznać, przyniosła technice niesłychanie obfite plony, ulepszyła statki powietrzne, do tego maksimum, iż dziś można już mówić o flocie powietrznej i powietrznej potędze.

Jakżeż dziecinnie naiwne zdają się nam pierwsze próby zdobycia powietrza przez *braci Mongolfier,* jakże przestarzałym wydaje się nam dziś system *Wirtha,* który współczesnym zdał się być szczytem doskonałości, jakże daleko w tyle został *Bleriot* ze swym jednopłatowcem — wobec dzisiejszych aparatów, dzięki którym człowiek, przez długie lata tylko *król ziemi i morza,* stał się *królem powietrza.*

To też po wojnie wszystkie państwa uważały za rzecz dla siebie najważniejszą wybudowanie potężnej, wielkiej i dobrze wyszkolonej armji i floty powietrznej. Polska, mająca tak „życzliwych" sobie swych najbliższych sąsiadów prześcignąć się dać nie może i nie da.

W dniu 23 listopada roku 1923 mieszkańcy Krakowa mogli oglądać (i oglądali tłumnie mimo deszczu!) pracę nad sporządzeniem zdjęć do filmu *„Skrzydlaty zwycięzca".* Samolot wiozący znanego nam *„Z tajemnicy przystanku tramwajowego"* i *„Strzału"* aktora p. Węgrzyna i jego partnerkę p. Helenę Karpińską wylądował na Rynku Krakowskim poza odwachem, blisko miejsca, gdzie Kościuszko składał przysięgę. Przed dokonaniem odpowiednich zdjęć p. Węgrzyn wygłosił mowę propagandową na rzecz polskiego lotnictwa i *„Ligi obrony powietrznej państwa".* O filmie tym i jego wykonawcach podamy tu parę szczegółów:

Wykonanie tego filmu propagandowego realizuje towarzystwo *Aero-film* założone z inicjatywy kpt. *Stanisława Karpińskiego,* autora scenarjusza. W skład członków-założycieli tej jedynej w Polsce placówki wchodzi znany przemysłowiec p. Arkuszewski, który zapoczątkował w Polsce przemysł lotniczy przez założenie fabryki samolotów *„Plage*





Gen. Haller w stolicy filmu: 1) Słynna artystka filmowa Pola Negri z ulubionym psem przed swoją willą w Beverly gdzie przyjmowała błękitnego generała.
2) „Skrzydlaty zwycięzca": Karpińska i Jaracz





„Skrzydlaty zwycięzca“ 1) Na rynku krakowskim. Węgrzyn, Karpińska, Rothert, Szarski i Klońska-Sauerowa 2) Przy maszynie piekielnej A. Zielińska i H. Karpińska

Jaśkiewicz“. Akcja filmu jest nader zajmująca. Epilogiem jej jest śmiertelny bój w przestworzach dwóch skrzydlatych rycerzy, ponad bombardowanemi miastami. Walkę wygrywa lotnik Orski wynalazca torpedy powietrznej. On też jest owym „Skrzydlatym zwycięscą“. Jeżeli dodamy na zakończenie, iż role w filmie kreują takie gwiazdy filmowe polskie jak p. Karpińska, Zielińska, Rothert, L. Messal, Szmolcówna i Pawliszejewa oraz p. Mieczysław Frenkiel, Zelwerowicz, Jaracz, Nieżwiecki, Szarski, Nawrocki, Oranowski, Fiałkowski, Parnel i Goter, że reżyserję prowadzi tak nam znany p. Wesołowski zaś dekorację wykonują p. R. Biske i L. John to możi a mieć nadzieję iż obraz ten może i powinien wywrzeć głębokie wrażenie, budząc w społeczeństwie prawdziwe zainteresowanie się sprawą „obrony powietrznej“ Rzeczypospolitej i dając jednocześnie widzom miłą rozrywkę. *(rd)*

Życie sportowe w Estonji.

Tallin, Estonja 19/XII. 1923 r.

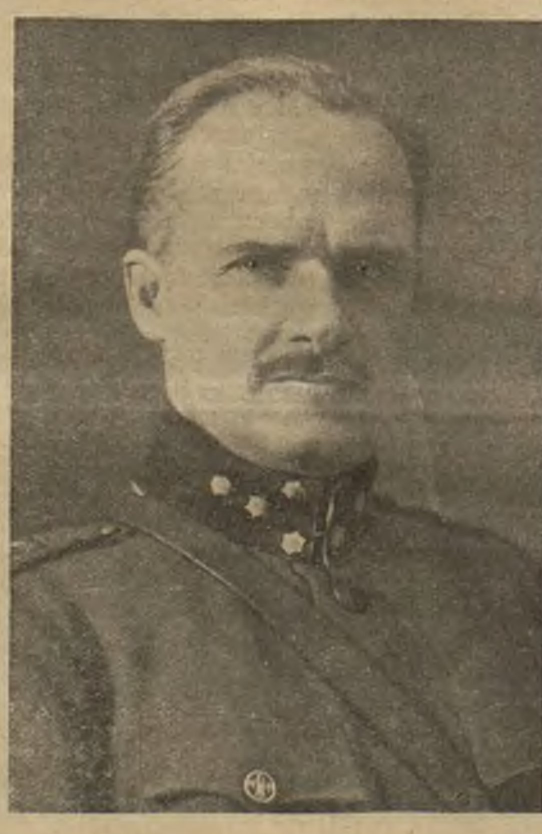
W ostatnich latach szybkiego rozwoju sportu na całej kuli ziemskiej, przysporzył sobie i sport estoński pewien rozgłos w świecie sportowym Europy, a może i świata.



Życie sportowe w Estonji: A. Klumberg

Posiadając w swym gronie kilku znanych mistrzów światowych i rekordomenów, dąży on do zdobycia sobie dominującego stanowiska. Organizacja sportowa też nie wiele ustępuje innym krajom północy, mającym wysoką kulturę sportową. Budowa stadjonu olimpijskiego, zainicjowana przez naczelne władze sportowe, szybko dobiega wykończeniu i już w przyszłym roku projektowane są wielkie zawody sportowe, z udziałem całej Europy. Stadjon ten na 20.000 miejsc (10.000 siedzących) stanie się niewątpliwie chlubą całej Estonji.

Z klubów sportowych na szczególną uwagę zasługuje najpopularniejszy i najbogatszy Kl. Sp. „Kalev“. Klub ten założony w 1901 r. przez zasłużonego na polu sportowym kapitana Tõnsona, liczy przeszło 2.000 członków. Urządzenia są wspaniałe



Życie sportowe w Estonji: Kapt. Tõnson

Posiada on własny budynek, położony obok boiska sportowego, obszerną restaurację, dostępną dla publiczności, ogromną salę do zawodów publicznych, salę do zapasów i boksu, pokoje do masażu i t. d. Do tegoż klubu należą obecny minister spraw wojskowych p. Anderkopp, jako prezes oraz szef sztabu gen. p. łk. Törwand i najpopularniejsi sportowcy estońscy, na czele z A. Klumbergiem, Jüri Lossmannem i H. Tammerem, który jest jednocześnie naczelnym redaktorem dużego pisma sportowego „Eesti Spordlicht“. Oprócz powyższych urządzeń posiada klub ten własny budynek letniskowy nad brzegiem morza położony, pływalnię (basein) i duży jacht morski. Budynek mieści 35 mieszkań.

Okrycie sławą sportową barw małej republiki estońskiej na igrzyskach sportowych w Göteborgu jest głównie zasługą słynnego Jüri Lossmanna, zwycięscy tradycyjnego biegu maratońskiego i Aleksandra Klumberga, mistrza światowego w 10-boju. Jednak i w innych działach sportu powiewał niejednokrotnie trzechbarwny sztandar Estonji. Tryumfem zostaje uwieńczona również i ciężka atletyka. Estończycy zdobywają trzy pierwsze miejsca w podnoszeniu ciężarów i dwa pierwsze w zapasach. Tutaj tryumfatorami są: rekordomen H. Tammer, fenomenalny Neulad i niepokonany zapaśnik w wadze piórkowej, Pütsepp.



Życie sportowe w Estonji: H. Tammer

Aczkolwiek ciężka atletyka zdobywa obecnie pewne sukcesy na terenie międzynarodowym, to jednak nie stoi ona już na tym poziomie tradycyjnym, na jaki go wznieśli estońscy nestorzy ciężkie



Mody bolszewickie: Suknia „Kameléon“ — charakterystyczna dla mody bolszewickiej — według rosyjskiego pisma „Wsieobczaja Illiustracja“. Suknię tą stanowi dziesiątek metrów materji o jednej stronie jednobarwnej a drugiej w paski, która daje się drapować i układać na postaci kobiecej we wszelkie możliwe sposoby. Z tego płata materji można więc momentalnie otrzymać (jak widzimy na rysunku od strony lewej ku prawej) — płaszcz, kostjum spacerowy, suknię balową, amazonkę, suknię do teatru i kostjum sportowy.



Sport w Estonji: Neuland, który ma 2 rekordy świat.

atletyki Lurich i Aberg. Sława tych dwóch bohaterów jest prawie równa sławy Polaków, braci Cyganiewiczów i Pytlasińskiego.

Co się tyczy popularyzacji i propagandy sportowej wewnątrz kraju, to stoi ono na najwyższym stopniu swego zadania. Urządzanie co tydzień wszelkiego rodzaju imprez sportowych, jest niewątpliwie wielkim plusem do propagandy sportowej i do osiągania coraz to lepszych wyników sportowych.

Przygotowania do olimpjady paryskiej pod fachowym kierownictwem znanych trenerów sportowych są w pełnym toku. I już na zawodach publicznych w dn. 15 i 16 b. m. ustanowiono 2 nowe rekordy światowe w podnoszeniu ciężarów, a mianowicie: Neuland pobija rekord w wyrywaniu jedną ręką 80 kilo i wyrywanie obydwoma 100 kilo. Ustanowiono również 5 rekordów państwowych. Utrzymanie formy w lekkiej atletyce umożliwia im hala meneżu zimowego, w którym odbywają się treningi. Jedynie piłka nożna nie bardzo idzie w parze z innymi działami sportowymi. Warunki klimatyczne bowiem nie sprzyjają podniesieniu tego tak rozpowszechnionego sportu na całym świecie do odpowiedniego poziomu.

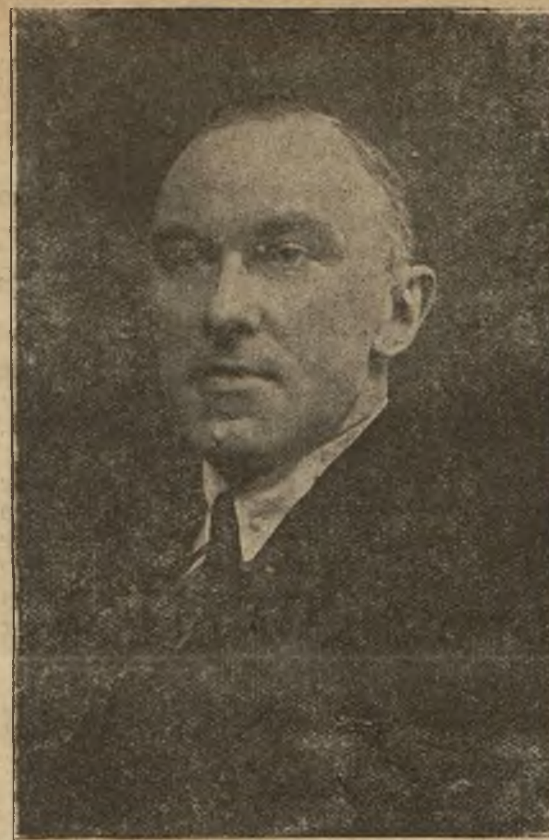
Tak więc się przedstawia życie sportowe, choć małej, lecz jednakowoż energicznej Estonji.

Leon Cezar Jacewicz.

Pierwszy polski parowóz.

Dnia 23 grudnia b. r. odbyło się w Warszawie uroczyste poświęcenie pierwszego parowozu z polskiej fabryki „Parowozy". Obecni byli prezydent Wojciechowski, nowy min. kolei inż. Tyszka adjutant prezydenta pułk. Zaruski i inż. fabryki „Parowozy" p. Weber. Nasza fotografia przedstawia chwilę, gdy wymienieni dostojnicy opuszczają parowóz po poświęceniu go i po pierwszej jego próbnej jeździe.

Z szczerem uczuciem i radością należy podkreślić fakt coraz lepszego rozwoju naszego ciężkiego przemysłu i ciągłe dążenie trzeźwo myślącego społeczeństwa do przemysłowego usamodzielnienia. Młodej placówce odradzającego się przemysłu metalurgicznego należy się słowo prawdziwego uznania.



Pogromca czarnej giełdy: Nadkomisarz P. P. p. Wiskowski Fot.: M. Fuks.

Pogromca czarnej giełdy.

Czarna giełda jest to taka instytucja, która istnieje nielegalnie ku radości licznych rzesz czerpiących z niej korzyść. W czasach przedwojennych nie miała ona zbyt wiele do roboty — za to gdy zaczęła się wojna w 1914 roku wtedy przyszedł jej czas i trwa dotąd.

Wiadomo: łatwo ryby w mętnej łowić wodzie! A czarna giełda jest to właśnie taki kartel, taki trust, takie stowarzyszenie, kooperatywa, która ma za cel uprawianie tego przemysłu na wielką skalę.

Jeżeli dolar bez powodu idzie w górę, albo spada (?), jeżeli waluty ulegają ni stąd ni zowąd nieuzasadnionym wahaniom — oho! — w tem już czarna giełda umaczała rączki.

Jeżeli nie handel walutami jest zakazany a wielmożny pan pragnie nabyć nieco koron czeskich, proszę się pofatygować w Krakowie na ulicę Dietlowską, na planty Dietlowskie, a raczej na miejsce gdzie niegdyś były, a w Warszawie do Loursa albo hotelu Polonia.

Czarnogiełdziarstwo jest podobne do picia alkoholu w dnie zakazane, który to zakaz istnieje tylko dlatego by był łamany.

Istnieje jednak taki potwór, cerber, wyrzut sumienia, bicz Boży na czarnogiełdziarzy — to jest p. *Włodzimierz Wiskowski* nadkomisarz P. P. w Warszawie.

Tam go znają! Ho! Ho!

Siedzą sobie naprzykład w kawiarni ogrodu Saskiego p. Czarnogiełdziarze — dolarki przewijają się z portfelu do portfelu, transakcyjki kwitną — naraz... alarm...

„Wiśkowski idzie!!!"

Ten tam rudy czarnogiełdziarz zbladł i połyka z wysiłkiem obce waluty, tamten wlecze się do



Sport w Estonji: Min. wojny gen. Ado Anderkopp.

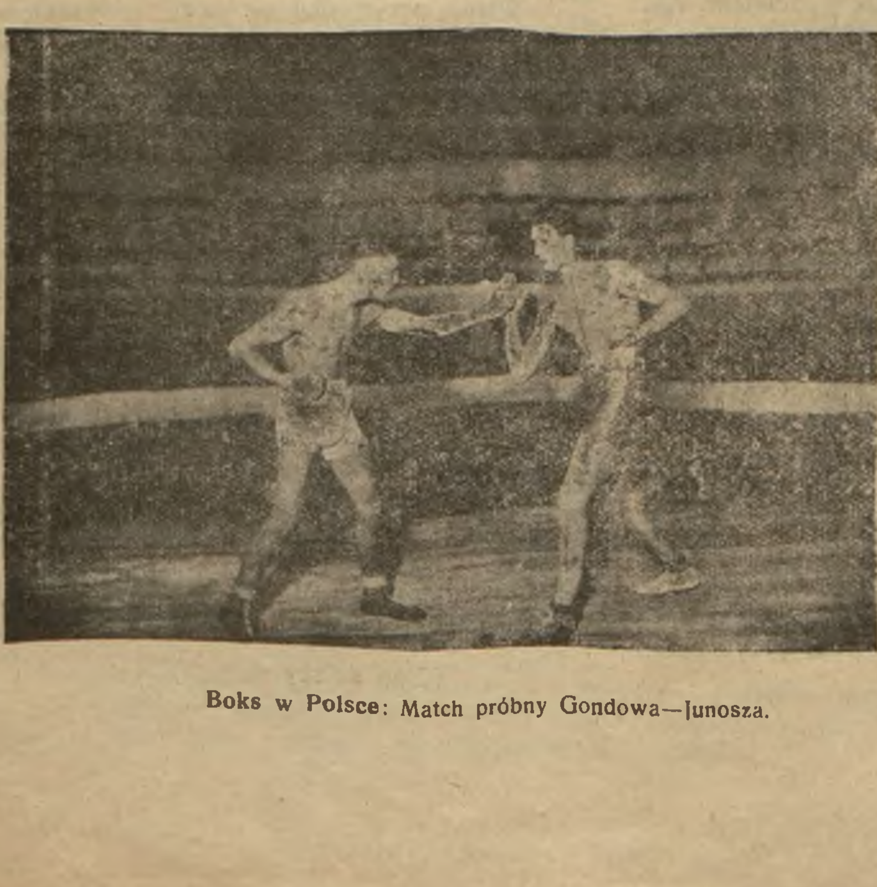
dalszej sali, ten znów porwał portfel kelnera wsadzając mu do kieszeni swój nabity holenderskimi guldenami. Wrzask, piekło — istna wieża Babel w kombinacyi z Sodomą i Gomorą.

Taki to postrach budzi w Warszawie u czarnogiełdziarzy słowo „Wiśkowski". Zdałoby się by przyjechał i do nas na „gościnne występy". *rd.*

Boks w Polsce.

Sport boksu, tak popularny w Ameryce i krajach zachodniej Europy w Polsce jest dziwnie niepopularny. Nazywany jest on najczęściej sportem „małokulturalnym i ordynarnym". Choćby nawet tak było faktycznie, boks ma wielkie znaczenie w wykształceniu fizycznem — rozwija doskonale tors i muskuły rąk i nóg, uczy zwinności i szybkiej orjentacji. Dla tych powodów winien zyskać taką samą popularność, jak zagranicą. Czem dla Hiszpanów są walki byków, dla mieszkańców Meksyku walki kogutów, tem dla Amerykanina i Anglika jest boks. Gdy rozgrywa się match bokserski między dwoma champjonami wszystkie inne sprawy dla nich nie istnieją nawet „bussines". Tysiące ludzi są widzami matchu, zakłady idą w tysiące dolarów, w tysiące funtów, prasa pisze tylko o tem, radjo roznosi po całem świecie trjumf zwycięscy.

Dajemy dziś naszym Czytelnikom fotografję mistrza armji polskiej w boksie por. *Junoszę* (z prawej strony) i jego trenera (z lewej), oraz grupę uczestników tego nowowprowadzonego u nas sportu. *(rd.)*



Boks w Polsce: Match próbny Gondowa—Junosza.



Boks w Polsce: Grupa uczestników treningu.

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

7

Swieca zaczęła topnieć i płomienie obejmujące drzewo i węgiel stawały się coraz większe. Smith wyciągnął swe długie nogi w stronę kominka.

— Już skończone! — rzekł do posługacza, który klęcząc on emiały przed ogniem, zdawał się zasypiać.

Służący wstał i wyszedł.

— *Well!* — odezwał się w chwilę potem Lewis Jackson. — Już załatwiliśmy wszystko!

Cała paczka depesz przeszła teraz od miliardera do rąk sekretarza.

— Może pan wracać do Tuileries Palace — mówił dalej businessman. — Tam panu będzie wygodniej załatwiać się z korespondencją.

— *All rigth!* — odrzekł Joe Smith, wkładając depesze do portfelu.

— Przed wyjściem niech pan zatelefonuje do pana Piotra Cartelegue'a na placu Trocadero i do Maksyma Dureta w Neuilly, że jestem tutaj.

— *Yes!*

I sekretarz wyszedł.

Nie upłynął kwadrans, gdy Piotr jak powiew wiatru wpadł do pokoju swego wuja.

— I co? — zapytał głosem, pełnym niepokoju i drżącym ze wzruszenia.

— Nie wiele ci, mój chłopcze, mam do zakomunikowania.

I miliarder opowiedział mu swą wizytę u pani de Laguna.

— Z ulicy Ampere — mówił dalej — udałem się do Neuilly, do Dureta... Wuj powtarzał mi prawie dosłownie słowa swej siostrzenicy... Dodał jednak kilka szczegółów, dotyczących tego Karola Turnera...

— Jakto? — zdumiał się Piotr. — Karol Turner nie jest więc postacią urojoną, jak to przypuszczaliśmy?

— Duret utrzymuje, że jest to bogaty przemysłowiec z Australii... Twierdzi nawet, że załatwiał z nim dawniej interesy handlowe... Nie zna jednak obecnego jego adresu..

— A więc?...

— A więc musimy naprzód stwierdzić istnienie tego człowieka... Ja się tem zajmę... Zatelegrafowałem wczoraj wieczorem do pewnego banku w Melbourne... Tutaj mi przyślą odpowiedź... *Entrez!*

Zapukano dwa razy lekko do drzwi... Na progu ukazał się służący.

— Depesza do pana!

Lewis Jackson wziął podany sobie niebieski papier i zaraz go odpieczętował.

— Oto i odpowiedź! — rzekł.

— Na depeszę wuja?

— Tak.

Miliarder, tłómacząc teks angielski, przeczytał głośno:

„Karol Turner znana osobistość naszego miasta. Obecnie w podróży i zapewne teraz bawi w Europie".

Duret rzeczywiście nie kłamał, mówiąc o istnieniu Australczyka. Nie kłamał również, utrzymując, że go zna. Nie zbyt dawno przedtem, pewien przemysłowiec malburski w przejeździe przez Paryż, zjawił się u filantropijnego prezesa z listem polecającym od wspólnego ich znajomego Nazywał on się Karol Turner. Duret oprowadził go po stolicy Francyi, poczem *globertrotter* udał się w dalszą podróż dokoła świata.

Gdy wkrótce potem prezes szukał jakiegoś nazwiska, by podpisać niem listy, adresowane do Ludwiki, przyszedł mu wtedy na myśl bogaty Australczyk.

Lewis Jackson podał depeszę Piotrowi Cartelegue'owi i zamyślił się. O rzymana wiadomość nie rozproszyła jego podejrzeń.

— Karol Turner nie jest zmyślony... — rzekł. Dobrze!... Lecz czy on istotnie pisał te listy?...

— On sam tylko mógłby na to odpowiedzieć... — odparł Piotr. — Lecz gdzie go szukać?...

Młody człowiek zaciskał bezsilnie pięści spacerował niespokojnie po małym pokoiku. Ta przedłużająca się niepewność była dla niego gorszą od złej rzeczywistości.

— Gdzie go szukać? — powtarzał.

Znowu zapukano dwa razy do drzwi i znowu pojawił się posługacz.

— Ktoś prosi pana do telefonu.

— Idę.

Miliarder zbiegł szybko do biura hotelowego i przyłożył pośpiesznie do ucha słuchawkę.

— Hallo! — zawołano.

— Hallo! Pan Maixent? — odezwał się głos filantropa.

— Tak... To pan Duret?

— Ja... Zatelefonowano mi przed chwilą pański adres i korzystam zaraz z niego, by zawiadomić pana, że odnalazłem Australczyka...

— Ach!... To bardzo dobrze!...

— Chcę również zaprosić pana na małe przyjęcie, jakie wydaje dzisiaj wieczór moja siostrzenica.. Proszę bardzo przybyć... Będzie również i Piotr Cartelegue... Dowiemy się przy tej sposobności z ust naszego jegomościa, czy jest autorem tych listów, czy też jaki fałszerz nadużył jego nazwiska...

— Bardzo pięknie!

— Czy siostrzenica moja i ja możemy liczyć na pana?

— Najzupełniej!

— A więc do wieczora!

— Tak! Dziękuję!

W chwili gdy kończyła się rozmowa telefoniczna, wynajęty powóz wjeżdżał na dziedziniec Tuileries Palace. Przy stangrecie leżał duży kufer, z tyłu zaś biegł oberwany *bagotier*.

Bagotierami nazywają się w Paryżu biedni bez domni tragaże, którzy czatują i biegną za dorożkami z bagażem. Całe kilometry przebiegają oni tak za dorożką i gdy pasażer wysiada, ofiarowują mu wtedy swe usługi do zaniesienia do mieszkania rzeczy. Zadyszani, spoceni chwytają z herkulesową siłą najcięższe kufry i niosą je na wszystkie piętra.

Powóz zatoczył półkole, zatrzymał się przed podjazdem hotelu, poczem stangret otworzył drzwiczki i ukazał się w nich okazały mężczyzna. Strój jego był jak najwykwintniejszy Stangretowi dał monetę, za którą otrzymał jak najniższy ukłon i wszedł do westybulu. Naraz usłszał za sobą jakiś hałas. Służący hotelowi wypędzali bagotiera, który im ze wszystkich sił im się opierał. Potężnie rozwinięte muszkuły, nizkie czoło i wielkie błyszczące niebieskie oczy, nadawały mu wyrazu człowieka niezwykłej siły, przeciwnicy też jego zawołali o pomoc.

Przybysz zrobił ruch zdziwienia na widok człowieka, którego nie zauważył za swym powozem. Zaczął nadsłuchiwać, lecz starczyło kilka słów, by zrozumiał, o co chodzi.

— Ach! Puście tego biedaka! rzekł z wyraźnym angielskim akcentem. — Chcę, aby on zaniósł mój kufer.

— Proszę pana — odezwał się jeden ze służących — przepisy Tuileries-Palance zabraniają wstępu..

— Zapłacę, ile będzie potrzeba — przerwał wyniosłym tonem przybysz — lecz pragnę, by mi usłużył ten, kogo ja chcę!

Służący ugięli się. Bagotier schwycił z tryumfem kufer i poszedł za swoim protektorem, który wszedł już do biura hotelowego.

— Chcę dostać apartament — rzekł.

Obecny w biurze zarządzający hotelem zerwał się ze swego fotelu na przyjęcie tak ważnego gościa.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł, kłaniając się z uszanowaniem.

— Czy ten, który zajmował ostatnio angielski następca tronu, jest wolny?

— Niestety nie... Zamieszkał w nim od wczoraj ten właśnie pan...

Zarządzający wskazał na Joego Smitha, który w chwili tej przechodził przez westibul. Amerykanin powracał z ulicy Amsterdamskiej.

— Ach! To nieprzyjemne! — rzekł gość.

— Mamy inny, z którego król serbski był bardzo zadowolony...

Gość skrzywił twarz w lekceważący grymas.

— Wreszcie niech będzie i ten! — zgodził się. — Proszę pisać w książce pana Karola Turnera, przemysłowca z Melbourne!

W chwilę potem bogaty cudzoziemiec znajdował się już w królewskim apartamencie.

— Proszę wyjść! — rozkazał służącym, którzy mu towarzyszyli. — A ty, mój przyjacielu, pozostań!

Te ostatnie słowa skierowane były do bagotiera, który ustawiał kufer.

Służący wyszli.

— I cóż, mój stary Petard — przemówił podróżny odmiennym już głosem i najczystszym paryskim akcentem — ciągle jesteś bez grosza?

Wielkie, niebieskie oczy tragarza zaokrągliły się, a muskularne jego ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała.

— Panajon?... — szepnął. — To niemożliwe!...

— Tak, tak, mój drogi, to ja!

— To ci dopiero!... To ci dopiero!... — powtarzał zdumiony herkulesowy bagotier.

— Nie poznałeś mnie?

— Jakże miałem poznać! Wyrosłeś przynajmniej na pół łokcia...

— Oh! Tyle to nie! Włożyłem tylko do trzewików po trzy karty!

— A postarzałeś się o dziesięć lat... gdym cię widział ostatni raz przed dziesięciu miesiącami...

— Ach! to jest rzecz, która mnie smuci... Żałuję mej pięknej młodości.

Panajon rozpinał swe futro. Bagotier, który zaczął się już oswajać z tą niespodzianką, zerknął na futro i kiwnął z zachwytem głową.

— Ciągle jesteś szczurem hotelowym? — zapytał.

— Nie... Zawód ten już nic nie wart... Za dużo miałem konkurentów... A przytem ja jestem artystą i kradzież tem więcej mi się uśmiecha i wabi, im mniej jest banalną... Wynalazłem w ostatnich czasach nowy, niezwykły sposób... Teraz właśnie przystąpiłem do działania... Wiedz o tem, mój stary, że masz dzisiaj przed sobą bogacza, Karola Turnera, fabrykanta czekolady z Melbourne!

— Melbourne? Jest to niewielkie miasteczko w okolicach Bordeaux?

— Mieszasz je z Libourne.

— Naprawdę?

— Tak, mój drogi, tak... Pogadajmy jednak trochę o tobie... Co się z tobą dzieje?

— Nic! Widzisz dobrze sam.

— Jesteś bagotierem... Winszuję ci... — mówił Panajon.

— Cóż chcesz! Nieraz trzeba czekać do północy, do pierwszej godziny, albo i dłużej, zanim pochwycić się da drobnostka. Nędzny los! — żalił się Petard.

— I mało zyskowny — roześmiał się Panajon — zwłaszcza, gdy działa kto tak naiwnie, jak ty... Nie potrafisz jeszcze nic innego, jak napadać na rogu ulicy?

— Niestety!

— Dzikus jesteś! Mało dystyngowany!

— Od dłuższego też już czasu nie obrobiłem nikogo... Wolę teraz położyć się wcześniej, a popracować trochę popołudniu.. Sprzedaję karty pocztowe... otwieram dzwiczki do powozów... noszę bagaże...

— Zadziwia mnie właśnie to ostatnie zajęcie.. Znając twe lenistwo, nie przypuszczałem, że możesz wziąć się do tego...

— Kilka dziesiątków kilo, to dla mnie taki drobiazg... A zresztą ja wybieram dla siebie dorożki, a pozostawiam innym te, które za prędko jadą, albo za wiele mają bagażów.

Panajon rozmyślał.

— Wiesz, przychodzi mi myśl... — rzekł. — Słuchaj... Koniec końców jesteś w nędzy...

— W najgłębszej!

— To mi przykro... Naprawdę... Gdy przed trzema laty uciekaliśmy razem z więzienia w Marsylji, gdzieśmy się poznali, wróciłeś się z powrotem, choć byłeś już bezpieczny, by wyrwać mnie z rąk patrolu nocnego, który mnie schwytał.., Takich usług nie zapomina się nigdy... Oprócz tego był by mi bardzo na rękę, gdybym miał przy sobie pewnego, oddanego sobie przyjaciela o wielkiej sile i ślepem posłuszeństwie... Chcesz być jednem słowem moim służącym?

— Ma się rozumieć! — zawołał w uniesieniu radości bagotier.

— Prawie nic do roboty, a dosyć do jedzenia i picia...

— Doskonale! To właśnie podoba mi się najwięcej! Po łóżku najbardziej lubię stół! Ach! Panajon!

Herkules tarł z zachwytu kułakami swe wielkie jak kalafiory oczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

6

— Skoro tak powiadacie, to czemuż macie podejrzenie na żonę zabitego pana?

— To się właściwie tak stało. Jakeśmy z Filipem zobaczyli nieszczęście, tośmy sobie odrazu pomyśleli, że to może zemsta której z tych, co to nieboszczyk pan się koło nich kręcił, ale starsza pani zawołała: „To ona, to ta niegodziwa żona mojego syna; poprzysięgła mu zemstę, ona go zabiła“. Wtedy dopiero zaczęło się nam wszystkim zdawać, że to chyba tak się stało, jak nasza pani mówi.

— Mówiliście, że żona waszego pana wyglądała uczciwie i szlachetnie, w czemże widzieliście ową poczciwość i szlachetność?

— Nie wiedzieć jak tu zacząć. Chyba od tego, że zła dusza musiałaby przecie choćby kiedy ukazać się na twarzy. A ta pani zawsze była piękna jak anioł, zawsze dobra i grzeczna dla każdego. Była dumna jak księżniczka, poważna jak królowa, ale i dobrotliwa bardzo. Nawet wtedy na weselu, gdy tak strasznie przemawiała, czułem w sercu, że z niej mówi żal, a nie złość. W oczach miała łzy, a nie piekło.

Stuart słuchał z wielką uwagą co mu zwykły, prosty rozum starego sługi opowiadał, potem przesłuchiwał resztę służby i od wszystkich dowiedział się tego samego, że właściwie stąd mają podejrzenie na Leonorę, bo matka zabitego je miała.

Oczywiście najbardziej był ciekaw tego, co mu powie Kate Scaton, ta serdeczna przyjaciółka Leonory, kazał więc służbie poprosić jej o rozmowę. Kate Scaton od ośmiu dni nie opuszczała matki Arteveldta. Na tydzień przed weselem zaproszona przez nią, przebywała stale w jej domu i pomagała we wszystkich urządzeniach i czynnościach gospodarczych, a czyniła to jako serdeczna przyjaciółka Leonory. Teraz, po tem strasznem nieszczęściu, pani Arteveldt nie puszczała od siebie ani na chwilę zacnej dziewczyny.

Zmęczona do upadłego i bezsennością i wrażeniami, była Kati tak osłabiona, że ledwie na nogach utrzymać się mogła, mimo tego z ożywieniem rozpoczęła sama rozmowę ze Stuartem.

— Czekałam niecierpliwie, aby z panem pomówić. Przysięgam panu, że ona niewinna.

— Czy przez panią przemawia zaślepienie przyjaciółki, czy też silne przekonanie?

— Najsilniejsze przekonanie, oparte na znajomości wszystkich tajników duszy tej najzacniejszej istoty.

— Niech pani nie zapomina, że przecież sama pani Leonora głośno i publicznie zagroziła zemstą, niech pani nad tem pomyśli, że niewinna nie potrzebowałaby się ukrywać.

— Ależ właśnie to nagłe jej zniknięcie i to ukrywanie się przed mężem, jest ową zemstą, o której mówiła. Ja byłam we wszystko wtajemniczona; nawet wspólnie układałyśmy plan jej ucieczki. Leonora jest może nieco ekscentryczna, ale charakter to tak piękny i tak dobry, że podziwiać go i uwielbiać należy. Znam ją przecież od dawna, z tych lat młodocianych, kiedy to serca i dusze rozwierają się jak kielichy kwiatów do słońca.

— Żałuję bardzo, że mnie kilka razy ominęła sposobność poznania przyjaciółki pani. Chociaż jej nie znam, wyobrażam sobie, że posądzać jej o tak straszną zbrodnię nie można. Proszę mi wierzyć, że dołożę najusilniejszych starań, aby jej niewinność udowodnić a mordercę wyszukać. Niechże mi pani opowie szczerze, wszystko, a wszystko, choćby najdrobniejsze szczegóły, tyczące się osoby pani Leonory.

Kate Scaton opowiadała dość długo historyę swej przyjaźni z Leonorą, najbardziej drobiazgową kronikę czteroletniego, koleżeńskiego pożycia i starała się skreślić charakter swej przyjaciółki jaknajwyraźniej. Stuart słuchał tego z widocznem zadowoleniem, ale Kate tak już siły wyczerpała, że mówić dłużej nie mogła.

— Niechże pani skorzysta z tego, że pani Arteveldt zasnęła. Proszę położyć się spocząć, a jutro pomówimy jeszcze o tem wszystkiem.

Widząc się z drem Halle, niech go pani poprosi o klucze od mieszkania nieboszczyka, które zamował w domu matki. Potrzeba mi się tam rozpatrzyć i poszukać jakiejś wskazówki do dalszego postępowania.

Stuart nie miał tu co dłużej robić, więc poszedł do domu, aby także odpocząć i po nocy bezsennej i po wrażeniach; spodziewał się też odwiedzin Jocelyna. Zaledwie przyszedł do domu, przyniesiono mu telegram takiej treści: „B. i ja wyjechaliśmy. Powrót niewi domy. List wyprawiłem“. Depesza pochodziła z jakiejś małej stacyi kolejowej odległej o 10 mil od Chicago.

Stuart bardzo się ucieszył tym telegramem. Dowiedziawszy się o wyjeździe Jocelyna, zajęty sprawą Arteveldtów, nie mógłby Jocelynowi pomagać, a byłoby mu przykro pomocy odmówić. Odpocząwszy i przebrawszy się, poszedł po klucze, o które prosił panny Scaton, a następnie udał się do kawalerskiego mieszkania Arteveldta. Rozejrzał się we wszystkiem dokładnie, według swego zwyczaju, szczególnie zwrócił uwagę na biurko, przepełnione listami i wszelkiego rodzaju fotografiami.

Korespondencya nie była ciekawą, skoro po przeczytaniu obojętnie odrzucał list za listem, aż dopiero mała karteczka zaciekawiła go bardzo. Pismo na niej kobiece, ale wyraziste z rozmachem rzucone na papier. Treść krótka, ale zastanawiająca.

„Niepokoi mnie twoje postępowanie. Nie zamykam oczu, widzę dobrze. Potem co się stało, musisz być moim. Dziś wieczorem pragnę koniecznie z tobą pomówić“.

Podpisu nie było na kartce, ani adresu, tylko data 9. sierpnia, a więc z przed trzech miesięcy. To oczywiście zastanowić musiało Stuarta, więc schował kartkę starannie i szukał dalej, ale w biurku nie było już nic zajmującego. Zobaczywszy rozrzucone suknie Arteveldta, zaczął je przeglądać, szukać w kieszeniach i tu znalazł drugą kartkę, pisaną tą samą ręką co poprzednio i to przed czterema dniami, jak data wskazywała.

„W działam dziewczynę, z którą chcesz się żenić. Ona Cię nie kocha na to przysiądz mogę. Ostrzegam Cię i ostrzegam raz jeszcze. Zerwij z nią, zerwij natychmiast, aby nie spadł na Ciebie grom straszny, jako kara za przeniewierstwo wobec tej, która Cię kocha, wobec któ ej z ciągnąłeś obowiązki“.

Czy to groźba, czy ostrzeżenie? rozważał Stuart. Czy tak, czy owak cenne to i ciekawe dokumenty. Znalazł się i trzeci. Na kominku był stos spalonych papierów. Widocznie Arteveldt palił przed ślubem kawalerską korespondencyę. Stuart przetrząsał zczerniałe, zwęglone pokłady i dopatrzył kawałka niedopalonego papieru. Był to urywek listu, pisany ręką Arteveldta, przez pół zwęglony, ale jeszcze tyle można było wyczytać:

„...p darunki odesłałem, niczego nie zatrzymałem, więc... groźby.. nie lękam się niczego... pozostanę szczerym przyjacielem, kochać nie mogę“.

Był to widocznie koncept odpowiedzi na list przed czterema dniami otrzymany. Oczywiście i ten skrawek papieru, na pół zwęglony, schował Stuart starannie, potem zamknął mieszkanie i pospieszył do willi. Jak tu było wczoraj wesoło, rojno i strojnie, a dziś cisza śmierci, kiry żałobne, rozpacz matki, ponure wi mo zbrodni. W ciągu jednej doby ruina życia i szczęścia! Smutno mu było, człowiekiem był; czuł, odczuwał niedolę ludzką, chociaż tragedyę życia widywał wciąż, niemal codziennie.

Cicho, ostrożnie stąpał po pokojach, dowiedziawszy się od służby, że nieszczęśliwa matka zasnęła. Szeptem poprosił Kate Scaton na chwilę rozmowy.

— Nadmieniłem już pani, że mam pewne wątpliwości co do winy Leonory i radbym zebrać dowody, że jest niewinną.

— Ależ ja przysięgam, że jest niewinną!

— To nie dowód, to tylko objaw wiary w jej charakter i wyraz przyjaźni. To za mało, dowodów potrzeba i tych musimy szukać. Czy pani zna dobrze pismo swojej przyjaciółki?

— Znam doskonale; przecież korespondowałyśmy z sobą tak często.

Czy Leonora nie miała tu jakiej nieprzyjaciółki?

— Niemożebne, bo z nikim nie zawierała znajomości, prócz z moją rodziną i naszem kółkiem.

— Nie był też kto u niej na krótki czas przed ślubem? Jaka nieznana pani, kobieta?

— A, tak, istotnie jakoś na ośm dni przed ślubem, była elegancko ubrana, welonem zakryta osoba i zabawiła z Leonorą w salonie około dwudziestu minut. Pytaliśmy potem Leonory o nią, ale zbyła nas ruszeniem ramionami i rzekła z uśmiechem: „At, komedya, o której niema co mówić“. Przez ciekawość pytałem jej, gdyśmy były same z sobą, ale i wtedy powiedziała mi tylko tyle:

„Jeżeli mi dobrze życzysz nie pytaj się o to. Przyrzekłam dotrzymać tajemnicy i dotrzymam, nawet wobec takiej serdecznej przyjaciółki“.

— No tak, to dosyć ciekawa tajemnica. A jeszcze słówko. Przyjaciółka pani straciła matkę; nie sposób, aby nie miała jakiegoś opiekuna, choćby z urzędu ustanowionego. Czy pani wiadomo o tem?

— O, i bardzo dobrze. Tak jest, Leonora ma opiekuna. Jest nim dr. Austin; mieszka w Fairlic. Leonora bardzo go ceni, pokłada w nim wielkie zaufanie.

— Szczerze dziękuję za te wiadomości. A teraz ja panią wyręczę w czuwaniu przy chorej. Proszę się położyć, odpocząć, wyspać.

Kate Scaton udała się na spoczynek, a Stuart czuwał i rozmyślał, kombinował, układał plany, żeby wyjaśnić sprawę tak bardzo zagadkową.

XI.

ZAGADKA FERGUSA.

Piękna Laura Durand nie wychodziła z buduaru. Wciąż była niezdrowa; gdy migrena ustąpiła, zdarzył się jej pod bno nie miły wypadek pośliz gła się na posadzce i nadwyrężyła nogę tak, że stąpać nie mogła. Durandowie z obawy i troskliwości chcieli wezwać lekarza, rozweselić ją swojem towarzystwem, ale piękna Laura wymówiła się stanowczo i od pieki lekarskiej i od towarzystwa rodziców. Zapewniała, że samotność i spokój najlepszem będą lekarstwem. Tylko ulubiona francuska pokojówka była prawie wciąż przy niej na każde zawołanie.

Lękali się też Durandowie, aby wiadomość o tragedyi Arteveldtów nie wywarła zabójczego wrażenia na tkliwe serce Laury, więc radzono wciąż nad tem jakby Laurę zwolna przygotować, boć zupełnie ukryć tego, o czem wiedział cały świat, było niepodobieństwem.

Podjęła się tego Nelly Brown. No i słusznie. Wszakże była towarzyszką Laury, umyślnie na ten cel przyjętą, aby Laurze przyjemniać życie.

Na atłasowej, zielonej otomanie leżała Laura w pozie tak ul żonej, jakby modelem była dla malarza. Była bezwładna, czy senna, rozgniewana, czy zgnębiona, pogrążona w apatycznej bezmyślności, czy tłumiąca wewnętrzną burzę myśli i uczuć. Trud o o zec, trudno ocenić, bo wszystko to spłatało się razem na jej twarzy, nadając jej znamię chaotyczne.

Koło dziewiątej wieczorem weszła do buduaru Nelly Brown. Laura nie spodziewała się tych odwiedzin, czy też ich nie życzyła sobie, bo na widok towarzyszki drgnęła niechętnie, ale Nelly niezważając na to, siadła spokojnie przy otomanie.

— Czy noga jeszcze boli? — spytała, uśmiechając się ironicznie.

— Boli — odpowiedziała Laura cokolwiek opryskliwie i zwróciła głowę na bok, jakby na znak, że rozmawiać niechce.

Ale Nelly nie zważała na to i poczekawszy chwilę, zaczęła znowu mówić:

— Że też to pani niczego nie ciekawa. Sądziłam, że zechcesz się dowiedzieć czegoś o weselu?

— Nie ciekawam wcale — odpowiedziała Laura i zmrużyła oczy, jakby do snu.

— Ależ to niezwykłe było wesele.

— Cóż mnie ono obchodzi?

— Ej może bodaj cokolwiek, nie udawaj pani.

— Panno Nelly, chciałabym mieć teraz spokój.

— I owszem, tylko jeszcze kilka słów. Wesele było niezwykłe. Trzeba było widzieć, z jaką dumą i pogardą mówiła o mężu, z jaką stanowczością mówiła o zemście. Była prawdziwą Junoną, ale z piorunami Jowisza w dłoni.

— O kim pani mówi? spytała Laura zaciekawiona, udając obojętność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red.: W. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina